Rocznik I. Kraków, dnia 1. lutego 1897. Nr. 3.

Prenumerata wynosi: kwartalnie w Austryi 1 złr., w Niemczech 2 m., (numer pocztowy 107 a, t. poln.) w innych krajach 3 fr.

ŚWIATŁO

DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY.

WYDANIE KRAKOWSKIE.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Dr. Feliks Koneczny, Kraków, ulica Wolska 21.

PARALIŻ MIESZCZAŃSKI.

Natura horret vacuum — zdanie to możnaby poniekąd odnieść do historyi i do opierającej się na tej umiejętności sztuki stosowanej, tj. do polityki. Próżni niema w przyrodzie, a nicość jest poza jej granicami; podobnież historya nie zna lat, w których, jak niegdyś mniemali kronikarze „nic się nie działo“, a polityka musi się mieć na baczności przed złudzeniem, jakoby gdziekolwiek nic się nie przygotowywało. Nie wszystkie wprawdzie wielkie wypadki są wynikiem długiego szeregu drobnostek (jak mniemał Taine), ale to pewna, że najtrwalsze w swych skutkach bywają te właśnie, które takimi są. Nie zawsze wprawdzie miewa dana warstwa społeczna polityczne zamiary, ale nawet najzupełniejsza jej apatya pod tym względem musi mieć polityczne skutki. Do ogólnego zbiorowiska dziejowego pochodu wchodzi wszystko, cokolwiek wykracza poza ból lub radość jednej tylko osoby; na politycznym stanie całego narodu skrupi się bezwarunkowo polityczna nieobecność jakiejkolwiek grupy społecznej.

Wśród narodu polskiego od trzech wieków mieszczaństwo świeci nieobecnością. Wygaduje się na szlachtę, że je zgnębiła. Ani myślę szlachty bronić. Dziwię się jednak, że też nie znalazł się dotychczas nikt taki, ktoby rzucił pytanie: a czemużeście się dali zgnębić? Gdzie najdrobniejsze jakie ślady ich oporu? Co gorsza, są dowody, że sławetni nasi przodkowie nie korzystali nawet z tych praw, które im przyznano. Zdarzało się, że ze względów formalnych publicznego prawa polskiego potrzeba było kontuszom współudziału kapot do czegoś — i po większej części bywało tak, że kapoty trzeba było gwałtem ciągnąć za poły do udziału w sprawach publicznych! Co nie dało się zmierzyć łokciem ni kwartą, od tego stronili, jak od zarazy i zażegnywali się od jakiegokolwiek udziału w polityce państwa polskiego. Wtedy tylko strzygli uszyma, gdy chodziło o jakąś sprawę materyalną dotyczącą — nie państwa! — lecz miejskich rogatek. I cóż dziwnego, że po pewnym czasie szlachta poczęła tą warstwą przedewszystkiem gardzić, a następnie uważać ją za stado głuszców, z którem niema sobie czego robić wielkich zachodów. Rzecz też prosta, że kto w państwie nie interesuje się sprawami ogólnemi, ten poniesie nareszcie klęskę w sprawie własnej. Zgubność zasady nieinterwencyi sprawdza się nietylko w stosunkach pomiędzy państwami, ale też pomiędzy warstwami jednego państwa i narodu. Zgnębiła zaś szlachta mieszczaństwo dlatego, ponieważ to było zadaniem niezmiernie łatwem.

Polityczne *vacuum* polskiego mieszczaństwa ścieśniło przedewszystkiem — horyzont polityczny szlachty, a w końcu... wszak koniec Rzpltej wiadomy. W ostatniej chwili zjawił się Kiliński, ale nie łudźmy się nazbyt co do jego mieszczaństwa. Mieszczanin z rodu, był szlachcicem w duchu, a na zewnątrz objawiało się to ciekawie: ten szewc warszawski przybierał się w kontusz, a paradował w nim co niedziela nawet w więzieniu petersburskiem. Dzielny to był człowiek, a dzisiejsi mieszczanie dobrze robią, że czczą jego pamięć; ale rzecz ciekawa: dzisiejsi na uroczystość na cześć Kilińskiego znowu się przebierają w kontusze. Lżyć szlachtę, ale przebrać się za szlachcica!

Kiliński sprawił sobie kontusz (on zresztą szlachty nie lżył), bo kapota wydawała mu się za mało polską; zapewne dlatego, że podobnych sobie niewielu miał wśród warszawskiego mieszczaństwa; kontusz odróżniał go od miejskiego tłumu, apatycznego aż do ostatniej chwili wobec sprawy publicznej [1]). Widocznie mieszczańskie tło nie było tłem

[1]) Inaczej nie byliby mogli najezdnicy w Warszawie całe lata tak dobrze się bawić! Potem bili Warszawianie wroga; ale cnota *in extremis* nie jest wielką cnotą.

dla takich dusz, jak on! Słowem: on należał do wyjątków wśród mieszczaństwa; należy go uważać za ideał, ale nie za typ.

Po rozbiorach mieszczaństwo zachowywało się przedziwnie! Gdzie była sposobność niemczenia się, nieomieszkiwało z niej korzystać; co za szczęście, że Moskwa spóźniła się z polityką rusyfikacyjną! Straszny ciskam zarzut? Dostarczcież dowodów patryotyzmu ogółu naszego mieszczaństwa, a gotów jestem do publicznej skruchy. Lwów — nibyto czoło dzisiaj patryotycznego mieszczaństwa — ma przecież niemiecką kartę w porozbiorowych dziejach.

Jeszcze nawet w r. 1863 lała się przeważnie krew szlachecka, a mieszczaństwo było tam w znacznej mniejszości. Czy może dlatego, że potępiali ten ruch, że się odznaczali rozumem politycznym? O nie, poprostu dlatego, że ich ten ruch niewiele obchodził; ledwie w miastach stołecznych zdołano pozyskać tych, którzy... czuli się szlachcicami w duchu. Ale sprawa polska dotychczas ani razu jeszcze nie była mieszczańską; co najwyżej w Krakowie i w Warszawie zdołała się lokalizować.

Nieobecni od trzech wieków, Ojczyźnie dający niewiele, a zazwyczaj nic, jakimże tknięci jesteście paraliżem?

Kiedy na sejmach kuto na nich ograniczające prawa, nie powstał w ich łonie żaden protest; jednego tylko nawet wydali obrońcę: Frycza Modrzewskiego, ale ani się koło niego nie skupili, ani go nie poparli, a kto tam wie, czy nawet książkę jego czytali?! Rzecz jasna, że nasi sławetni przodkowie nie byli politycznie zorganizowani, że wogóle polityka krajowa leżała poza ich horyzontem.

Organizacya polityczna polega na świadomości wspólnictwa; ma ona w sobie dużo cech korporacyjnych i wytryśnie tylko tam, gdzie jest samowiedza czy to materyalna, tj. stanowa, czy to idealna, tj. wspólność ideałów (w tym drugim wypadku powstaje zazwyczaj po krótkim czasie nowy stan, lub przynajmniej korporacya). Stanowe zaś wspólnictwo opierać się musi na tem, że każdy chętnie należy do tego stanu, że go szanuje: słowem, na ambicyi stanowej. A czy mieszczaństwo polskie miało kiedy swoją ambicyę? Wszystkie niemal wybitniejsze jednostki kapotowe kupowały kontusz, czyli, mówiąc wyraźnie: wybitni polscy mieszczanie starali się zawsze o szlachectwo. Ambicyą ich był — herb szlachecki, celem ich życia — dezercya z mieszczańskich szeregów! Odkąd przestano w Polsce szafować na wszystkie strony herbami, mieszczaninowi zabrakło celu i stracił wszelką ambicyę; odtąd już mu było wszystko jedno, co się w kraju dzieje.

Nie było poczucia godności w naszem mieszczaństwie; stan swój uważali za jakąś trędowatość, nie mieli ku niemu miłości, więc też zmarniał on doszczętnie. Co tu wszystko zwalać na szlachtę? Jakżeż miał zakwitnąć stan, który sobie lekceważyli sami jego członkowie, zgadzając się ze szlachtą najzupełniej w tem, że to jest stan pogardliwy, którego najlepiej byłoby się pozbyć. Czyż przez całe trzy wieki dał się słyszeć choćby jeden głos, któryby donośnie i dumnie zawołał: Jestem mieszczaninem polskim?

Dopiero za naszych już czasów, odezwał się w ten sposób jeden człowiek, jedyny, samotny: Mikołaj Zyblikiewicz. Ale poparcia u mieszczaństwa tak dalece nie znajdywał.

Nie o przeszłość dziś nam chodzi, lecz o przyszłość, której zarodki tkwią w teraźniejszości. Jeżeli dzisiejsze nasze mieszczaństwo niema ducha korporacyjnego, niema ambicyi stanowej, natenczas pozostanie ono sobie zerem w politycznem życiu narodu i znowu interesy jego ulegać będą — nie zgnębieniu (bo dziś gnębić się nie da), ale przeoczeniu, co w rezultacie wyjdzie na to samo. Gdybyż tylko o to chodziło! Możnaby wzruszyć pogardliwie ramionami i odpowiedzieć szyderczo grubem przysłowiem: kijem tego, kto nie pilnuje swego. Ale tu jest w grze sprawa stokroć ważniejsza, niż interesy z obrębu rogatek; o narodową idzie sprawę. Mieszczańskie *vacuum* skrupi się bowiem znowu na narodzie w stanowczej chwili, a przedewszystkiem zdemoralizuje politykę warstw, tym razem już dwóch: szlachty i ludu wiejskiego.

O polskim chłopie, jako takim, słychać (dzięki Bogu) już coraz częściej; o mieszczaninie polskim ciągle głucho. Nie przeczę, że od r. 1863 jest wielki postęp co do patryotyzmu tej warstwy, ale nie łączy się on wcale a wcale z poczuciem stanowem, więc wisi w powietrzu, gruntu pod sobą niemając. Toteż wątpić należy, czy stać go na co więcej, jak na urządzanie wieczorków patryotycznych i przebieranie się w kontusz. Stwierdzić zaś trzeba ze zgrozą, że u wybitniejszych i właśnie najpatryotyczniejszych jednostek z pośród mieszczaństwa, ginie i zanika stanowa świadomość: oni nie czują się mieszczanami, a w najlepszym razie czują się nimi za mało. Czyż intelligencya miejska poczuwa się do mieszczaństwa? Czyż dzisiaj nie opuszcza mieszczańskich szeregów każdy, kto wybił się na widownię właśnie z pośród nich? Czy jest w tej warstwie poczucie godności stanu, czy jest do zapisania jakikolwiek ślad mieszczańskiej ambicyi, ale takiej, któraby nie zmierzała do dezercyi z mieszczańskich szeregów? Ciągle ten sam paraliż! Brak poczucia!

Nie załatwimy narodowej sprawy, póki organizm społeczny u nas nie wyzdrowieje. Warto się nad tem zastanowić; więc prawdę trzeba powiedzieć, niech boli, jak chce. Nie sama tylko szlachta,

lecz również bierne i pozbawione ambicyi mieszczaństwo winne jest upadku państwa polskiego. Do lepszej przyszłości potrzeba też poprawy nietylko szlachty, lecz niemniej mieszczaństwa, a ta poprawa polegać ma przedewszystkiem na tem, żeby już raz nareszcie odczuć godność swego stanu. Reszta będzie po większej części prostą tego konsekwencyą.

Feliks Koneczny.

O DAWNEM PODDAŃSTWIE LUDU POLSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Wojna była źródłem niewoli nietylko w Polsce, lecz wszędzie, a jeniec był najcelniejszym i najcenniejszym łupem wojennym. W czasach pierwotnych, zanim powstało jednolite polskie państwo, nie brakło wojen pomiędzy Łęczycanami, a Mazowszanami, pomiędzy Polanami a Ślęzanami itp., każda wyprawa dawała jeńca i to nietylko z pośród walczących w szeregach wojennych, gdyż po zwycięstwie następowała łupież i grabież osad zwyciężonych, brano też do niewoli niemniej kobiety i dzieci. Potem, za Bolesława Chrobrego i w czasach następnych, nie mógł się już stać niewolnikiem Wielkopolanin u Małopolanina i wojna przeniosła się na dalekie granice olbrzymiego już państwa, brano jeńca z Niemiec, z Pomorza, z Pusaków i z Rusi. Tak np. wiemy ze źródeł dziejowych, jak Bolesław Chrobry zabrał raz na Rusi kilkaset głów do niewoli z nad Dniestru; w ćwierć wieku potem, kiedy na ziemi polskiej całe nowe pokolenie rozrodziło się z tych jeńców, wnuk Chrobrego, Kazimierz, odesłał z nich ośmiuset na Ruś, dając ich na wiano na godach weselnych z siostrą Jarosławową, Dobrogniewą. Za czasów Krzywoustego każdy niemal rok przynosił nową wyprawę na Pomorze, a każda wycieczka na drugą stronę Noteci, poza wielką puszczę nadnotecką, opłacała się sowitym łupem i chmarami jeńców, których zwycięscy przyprowadzali na smyczy. Po zdobyciu jakiego grodu lub miasta na Pomorzu rzucali się wojownicy nietylko na obfite tam dostatki, na dziwy „morskich bogactw“, nagromadzonych u Pomorzanów, ale również na samych mieszkańców, biorąc w więzy chłopców i dziewczęta, bo ten łup przydał się w domu bardziej, niż wszystkie inne skarby. Pomorze było istną kopalnią jeńców za Krzywoustego; w ostatnich tylko walkach, przed ostatecznem jeszcze zawojowaniem kraju, poszło ośm tysięcy Pomorzan z żonami i dziećmi w niewolę do Polski. Podobnież z Prus brało się niewolnika, a najstarszy kronikarz polski Gallus, świadczy wyraźnie, że Krzywosty przytroczył stamtąd „niezliczone mnóstwo mężów i niewiast, chłopców i dziewcząt, jeńców i niewolnic“. Czasem nawet Połowcy, choć tak dalecy, gdy odważyli się wpaść do Polski po zdobycz ruskimi szlakami, dostarczyli jeńca. Nie brakło też niewolników z wojen z Niemcami, Czechami i Węgrami.

Rozumie się samo przez się, że podobnież Polak, gdy został jeńcem na wojnie, stawał się niewolnikiem u ościennych narodów, Pod tym względem była najzupełniejsza wzajemność!

Co z jeńcami tymi poczynano sobie? Używano ich do przymusowych robót, do łowów, do pasieki, rybołostwa, bobrownictwa i do roli. Ponieważ lwia część łupu wojennego należała do księcia, a zatem jemu też przypadała największa część jeńców. W owych czasach (i znacznie jeszcze później) nie odróżniano osobistego majątku księcia od własności państwowej; co było książęce, to było zarazem udziałem państwa i odwrotnie. Toteż o niewolnikach książęcych powiedzieć można według dzisiejszego sposobu mówienia, że używano ich do robót publicznych. Np. książe (czyli państwo polskie) potrzebował wystawić nowy gród warowny przeciw Niemcom lub Pomorzanom, Rusinom itp. Wzniesiono go tedy rękami jeńców książęcych, bo oni byli niejako niewolnikami państwa. Gród taki miał zawsze stałą załogę wojskową, którą trzeba było wyżywić i zaopatrzyć we wszystkie potrzeby. Trzeba było mieć w pobliżu stadninę koni, dobraną zawsze na wypadek wojny, trzeba było dostarczać rycerzom grotów do dzid, a do gospodarstwa na grodzie w czasie pokoju trzeba było różnych naczyń drewnianych, czyli łagwi, należało im też dostarczać miodu, ryb, itp. Toteż, zwłaszcza koło większych grodów, osadzono koniarzy, grotników, łagiewników, bartników, rybaków itp., żeby wieczystą służbą zaspokajali potrzeby warowni, a świadczą o tem do dziś dnia nazwy mnóstwa wsi. Wyuczono kilku lub kilkunastu jeńców tego lub owego zajęcia, a ono potem stało się już dziedzicznem; jeńcy rozrodzili się i po czasie

powstała duża nieraz wieś Koniarów, Łagiewników, Grotników itp. Do pielęgnowania trzody, krów, wołów i owiec były osobne nieraz osady Skotników.

Książę i bogatsi panowie czynili często podarunki z jeńców biskupom i klasztorom. Duchowieństwo, wyższe cywilizacyą, używało niewolników bardziej do rolnictwa, a wogóle do zajęć pokojowych; w tych też osadach powstały rzemiosła: zduństwo,



Widok jaskini Wierzchowskiej w Ojcowie.

tj. garncarstwo, ciesiołka, stolarka, kołodziejstwo, szewstwo, kowalka, a wreszcie złotnictwo. Szczególne znaczenie mają osady korabników, którzy wyrabiali tratwy i galary do przewozu na rzekach, kiedy to drogi wodne stanowiły jeszcze główny środek komunikacyjny. Przy samych wreszcie zamkach książęcych i wielkopańskich, tudzież blisko dworów biskupich, były osady niewolników przeznaczonych do służby kuchennej: Piekary, Kuchary itp. Tak np. Pędzichów, dzisiejsza ulica w Krakowie na Kleparskiem przedmieściu, był właśnie pierwotnie piekarską osadą biskupów krakowskich — a chleb pędzichowski ma do dziś dnia swoją tradycyę w Krakowie.

Niewolnika wolno było sprzedać. Nie każdy

potrzebował osobnej osady, czy piekarzy, czy koniarzy; chudopachołek wołał swojego jeńca sprzedać. Czynili to zresztą nieraz także wielcy panowie, gdy wojna pomyślna więcej dała jeńca, niż go na razie potrzebowali; czasem za to zdarzało się, że po długich latach pokoju, lub po wyprawie niepomyślnej, gdy się własnych niewolników utraciło, trzeba było nowych kupować.



Widok jaskini Wierzchowskiej w Ojcowie.

Kościół samej niewoli nie mógł tak prędko znieść i trwało to aż do nowożytnych czasów, że jeniec był własnością swego zdobywcy; a skoro był własnością, było to już drugorzędną rzeczą, czy służy temu panu czy owemu, a dla niego samego było też zupełnie obojętnem, czy go dawny pan nowemu darowuje, czy też sprzedaje kupcowi. Na razie Kościół zakazywał przynajmniej trudnić się handlem ludźmi; nie można więc było niewolnika ani chrześcijaninowi odsprzedać, ani od chrześcijanina kupić. Kościół dążył przez ten zakaz widocznie do tego, żeby ustalić pobyt i stosunki niewolnej ludności, i odjąć jej cechę prostego towaru. Ale zakaz kościelny był swoją drogą, a swoją drogą

byli — Żydzi, którzy handel ten wzięli w swoje ręce; sprzedawało się tedy jeńca lub jego potomka Żydowi i kupowało się niewolnika od Żyda.

Siła robocza niewolników należała do najwybitniejszych artykułów handlu w naszych stronach; na Zachodzie potrzebowano niewolnika coraz bardziej, a kupowano go w znacznej części u nas, zwłaszcza, że było wielu jeńców pogańskich (Pomorzan, Prusaków, Jadźwingów, Połowców), a o tych mniej sobie kłopotano sumienie. Jeszcze bardziej od zachodniej Europy, sprowadzał sobie od nas niewolnika świat muzułmański, którego cała kultura oparta jest na niewolnictwie. Kupowali więc Żydzi naszych jeńców i pędzili ich do Konstantynopola, a z tej stolicy bizantyńskich cesarzy dalej do Azyi, na targ Bagdadu i innych grodów kalifów; drugi szlak muzułmańskiego handlu jeńców wiódł do Hiszpanii, będącej właśnie pod panowaniem Arabów, do Kordowy i Andaluzyi. Żydzi całej Europy i Wschodu znali dobrze Polskę i kraje sąsiednie, jako tanie źródło nabycia tego towaru. Św. Wojciech starał się napróżno pod koniec X wieku odwrócić Czechów od tego, żeby przynajmniej chrześcijan (zapewne jeńców polskich) nie sprzedawali żydowskim spekulantom. Chwalono Judytę, matkę Bolesława Krzywoustego, że nie żałowała swych bogactw na wykup chrześcijan z żydowskich rąk.

Czasem popadał w niewolę człowiek wolny bez wojny, podczas pokoju, a to w dwojaki sposób: za karę, lub za długi. W Czechach np. złoczyńca skazany na śmierć, a ułaskawiony, stawał się niewolnikiem. Niewola zaś za długi była instytucyą powszechną, znaną nietylko starożytnym, ale też i średnim wiekom.

Nieraz człowiek ubogi oddawał się też dobrowolnie w niewolę, żeby nie zginąć z głodu podczas złych czasów, a zwłaszcza po ciężkich najazdach nieprzyjacielskich, kiedy przez wojnę wszystko już utracił. Oddawał wtenczas za dostarczenie środków do życia służby swoje na wieczyste czasy, a więc stawał się niewolnikiem.

Takie są przyczyny i źródła pierwotnej niewoli w Polsce. Byli tedy u nas niewolnicy od samego początku, był lud niewolny, ale nie wynikało to z prawa krajowego, lecz z powszechnego prawa wojennego; chyba, że było karą za zbrodnię lub za nieuiszczone długi. Olbrzymia większość niewolnej ludności była krwi obcej, cudzoziemcy lub ich potomkowie: do dziś dnia kilkaset wsi nazywa się Węgry, Węgrzce, Niemcze, Prusy, Pomorzany itp., świadcząc swą nazwą, skąd pochodziła pierwsza warstwa zaludnienia osady. Nie mamy natomiast w źródłach żadnego dowodu, żeby ludność rodzima znajdowała się w dziedzicznej niewoli w ten sposób, żeby niejako od samego początku jedna część narodu była w niewoli u drugiej. Nie udało się też nikomu dostarczyć na to przekonujących dowodów.

Jeńcy cudzoziemscy wyuczyli się oczywiście polskiego języka, a potomstwo ich zapominało z biegiem czasu, skąd pochodzą ich rody: słowem, polszczyli się i po trzech, czterech pokoleniach, choć osada nazywała się Węgry lub Prusy, ludność jej była już polską. Nie przestawała jednak być niewolną, skoro niewola była dziedziczną i w ten sposób tłumaczy się powstanie pierwszej warstwy niewolnego ludu polskiego. Pamiętajmy jednak, że to jest lud nie rodzimy polski, lecz tylko spolszczeni potomkowie rozmaitych wrogów, którzy dostali się do niewoli wojennej u Polaków.

Trzeba na tę sprawę patrzeć okiem współczesnych: jeżeli w zachodniej Europie kwitnął handel ludźmi, jakżeż się dziwić, że na mniej cywilizowanym Wschodzie nie było lepiej i że nikomu nie przeszło nawet przez myśl udarować wolnością potomków wroga. Wszak ci niewolnicy, to była wraża krew w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, a tradycya rodowa ich panów pamiętała o tem. Miejmy na uwadze, że nawet w bardzo cywilizowanych społeczeństwach, cudzoziemiec nie cieszył się wcale opieką praw, o ile nie był czyimś gościem; piętno cudzoziemszczyzny przylgnęło niejako raz na zawsze do potomków pierwszych jeńców i utrwaliło ich niewolę; o tyle miała racyę późniejsza szlachta, twierdząc, że chłopska krew inna, a jej inna.

Nie do całego jednak ludu można to zastosować, bo potem, w drugim okresie niewoli, nie brakowało już niewolnych chłopów, którzy mieli w sobie niewątpliwie tę samą krew, jak szlachta. Zanim do tego przejdziemy, wypada wspomnieć, w jaki sposób wytworzyła się w Polsce ta warstwa narodu, którą zowiemy zazwyczaj „ludem wiejskim“, a która z początku była stanowczo wolną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LITERATURA GÓRNOŚLĄSKA.

(Ciąg dalszy).

Konstanty Damroth urodził się w r. 1841 na Górnym Śląsku w Lublińcu, gdzie ojciec jego był kościelnym przy farze. Uczęszczał do gimnazyum w Opolu, poczem wpisał się na wydział teologiczny we Wrocławiu. Wyświęcony na kapłana, został po trzech latach nauczycielem w seminaryach nauczycielskich, a następnie dyrektorem w Kościerzynie w Prusiech Zachodnich.

Jeszcze na uniwersytecie będąc, odznaczał się zamiłowaniem rzeczy polskich i szerzeniem patryotycznego ducha pomiędzy kolegami; wtenczas też powstawały pierwsze jego pieśni. Marzeniem jego było, że będzie szerzyć polskiego ducha pomiędzy ludem górnośląskim, a tymczasem wypadło mu zostać urzędnikiem rządowym, którym był jako nauczyciel i dyrektor seminaryum; twarde to były warunki, skoro on, gorący Polak, sam po niemiecku nauczać musiał i kierować niemiecką nauką. Miał racyę jednak, że nie zrzekał się urzędu, na którym mógł przynajmniej dopilnować, żeby poza formą i treść nie była trująca dla młodzieży. Po latach dopiero urzędowania, sterany anormalnymi dla siebie warunkami, zapragnął osiąść na wsi i starał się o plebanią. Nie dostał jej jednak i trzymano go w zawodzie szkolnym dopóty, póki mu starczyło zdrowia. Udało mu się przynajmniej wyjednać sobie przeniesienie na Górny Śląsk, gdzie był dyrektorem najpierw w Opolu, a w końcu w Proszkowie. Dawne jego marzenia o pracy z ludem i dla ludu nie spełniły się, ponieważ choroba, tkwiąca już dawno w jego piersiach, tak się rozwinęła, że musiał się przenieść do klasztoru Bonifratrów w Pilchowicach, gdzie też dokonał żywota dnia 5 marca 1895. Pisał wiele pod własnem nazwiskiem, a poezye pod pseudonimem Czesława Lubińskiego; ostatniem (pośmiertnem) jego dziełem jest książka wydana w języku niemieckim: *Die aelteren Ortsnamen Schlesiens.* Na Górnym Śląsku znany był dobrze za życia, zwłaszcza jako Lubiński; po śmierci, gdy stało się powszechnie wiadomem, do kogo ten pseudonim się odnosił, sława jego tak się wzmogła, że imię jego służy coraz bardziej jakby za sztandar narodowego ruchu na Górnym Śląsku.

Ksiądz Damroth był przedewszystkiem dobrym księdzem. W zbiorze jego utworów wierszowanych p. t.: „Z niwy śląskiej“ [1]), znajdujemy niejeden wiersz, który niepoślednie zająłby miejsce w antologii religijnej poezyi polskiej, np. wiersze: „Spojrzyj na krzyż“, „Marność“, „Prawa modlitwa“, „Angelus Domini“, „Najlepszy przyjaciel“, lub „Ostatnie życzenie“. Dużo wierszy poświęconych jest czci N. Maryi Panny. Głęboka wiara była fundamentem jego charakteru; drugą cechę stanowiło silne przekonanie o szlachetności natury ludzkiej i o nieuchronnem w końcu zwycięstwie prawdy. Na tych pewnikach opierał swą wiarę w Polskę. Przeglądając raz „dzienniczek z lat młodocianych“, doznaje zwykłych w takich razach wrażeń, ale dodaje, co nie każdy mógłby powiedzieć o sobie, nawet nie każdy poeta:

„Jednak i to nie stracone,
Choć owocu nie wydało:
Bo sił ciału, ognia sercu,
Duszy skrzydeł zaś dodało.

Żem się zdołał oprzeć prądom
Lub nie osiadł na mieliźnie,
Żem ojczystej mowie, sprawie
Wiernym został na obczyźnie,

Że różowo patrząc na świat,
Nie zwątpiłem o ludzkości;
W cuda wierząc, nie zwątpiłem
O mej Ojczyzny przyszłości.

Pod względem formy szwankował nieraz, a zwłaszcza z początku; ale też nigdy się nie uważał za dobrego poetę-artystę na polskim Parnasie; pisał, żeby były na Śląsku polskie pieśni, bo „póki brzmią polskich dumek melodyje, i Polska żyje“; o sobie zaś mówił, że należy do tych, którzy „nucą swe pieśni, jak ptacy leśni“. Charakterystycznym niezmiernie jest pod tym względem udatny wierszyk p. t. „Pragnienie“.

Serdecznym wita
Głosem skowronek
Młodziuchny dzionek;
Ani się pyta,
Czy go słuchają,
Chwalą czy łają
Ludzie.

Powietrze porze
Skrzydłem i dzwoni
Śród polnych woni
W śpiewaków chórze
Piosnkę, to małe
Ptaszę na chwałę
Bogu.

Bodaj to z niemi
Ziemię porzucić,
I pieśń zanucić
Już z niebieskiemi
Zgodnie i stale
Ku większej chwale
Boga!

[1]) Wydanie drugie, Bytom, G. Ś., nakładem wydawnictwa „Katolika“, 1893.

Chętnie czerpał też tematy z przyrody, a jakiem okiem na nią patrzał, niech okaże następny wiersz, który zamieszczamy w całości:

PRZEPIÓRKA.

Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Woła przepióreczka
Ukryta, z żyteczka:
Porzuć smutne mury,
Wstąp w ogród natury.
Chodź no, chodź! Chodź no, chodź!

Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Porzuć młot, obcęgi —
Ciśnij pióro, księgi —
Rzuć pracę niewoli,
I co serce boli!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!

Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Kogo fałsz omamił,
Kto się grzechem splamił;
Kogo smutek, nędza
W głąb zguby zapędza.
Chodź no, chodź! Chodź no, chodź!

Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Kogo świat już nudzi,
Lub mylny los ludzi, —
Słuchaj, niewolniku
Utrapień bez liku!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!

Chodź-no, chodź! Chodź no, chodź!
Na każde cierpienie
Znajdziesz uleczenie:
Spojrzyj na to zboże,
Ot — kazanie boże!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!

Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Każde ziarnko woła:
Bóg dba o nas zgoła!
Cześć ojcu w niebiosach!
Szeleści wciąż w kłosach.
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!

Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
O, posłuchaj szczerze
I utwierdź się w wierze:
Że boża opieka
Nie opuszcza człeka!
Chodź no, chodź! Chodź-no, chodź!

Oryginalność polega na tem, żeby patrząc na jakiś przedmiot, dojrzeć w nim coś nowego, czego nikt jeszcze nie spostrzegł. Czyż można odmówić oryginalności temu, kto w głosie przepiórki dosłuchał się owego „Chodź-no, chodź!“ i taką świetną dodał do tego interpretacyę. Nie można wątpić, że ten wiersz będzie z czasem należeć do najpopularniejszych w Polsce; pozwolę sobie zwrócić uwagę, że zasługuje w zupełności, żeby go umieścić w książkach szkolnych.

Obok wielkiej zdolności odczuwania przyrody wogóle, miał jednakże szczególną miłość dla przyrody swojskiej, np.

„Kto chce, niech chwali więc laury, morele,
Palmy i cedry libańskie;
Z niemi wszystkiemi ty mierzysz się śmiele,
Lipowe drzewo słowiańskie“.

Nie był jednak ciasnym w swym patryotyzmie; należał stanowczo do Europejczyków, znał dosyć literatury powszechnej i tłumaczył nawet chętnie z niemieckiego.

Polską ziemię znał i podróżował po niej podczas wakacyj. W wierszach jego są wspomnienia Częstochowy, Chęcin, Kielc, Krakowa, Lanckorony, Warszawy, Oliwy, Gdańska, Bałtyku. Kraków zrobił na nim nieszczególne wrażenie; uczcił w nim narodowe pamiątki, zresztą jednak odzywa się tak do Wisły, płynącej pod Krakowem:

„Próżno mruczysz mu w szeleście,
Brzegi stroisz w pstre kobierce;
Gdyż skostniało czułe serce
W krakusowem mieście“.

Przypomina to Wincentego Pola, który oświadczył, że w Krakowie kamienie wprawdzie jak ludzie, ale zato ludzie — jak kamienie.

Bardzo mu się zato podobała Warszawa; nazywa ją „naszą pieszczotką“; wychwala kobiety warszawskie i za urodę i za „piękność ich duszy“; porównuje je do Spartanek, a ogólny sąd o Warszawie wyraża w ten sposób:

Owóż czem Polki między kobietami,
Tem gród syreni pomiędzy miastami.

Całe życie trzymał się hasła: „póki siły stanie, Śląsk się bronić nie przestanie“, zaręczając, że „nie zapomni młódź opolska i gliwicka zalet laszych“, miał słuszność. My zaś dodajmy ze czcią dla jego pamięci, że życiem swem i pracą sam niemało do tego się przyczynił.

Jak wszystkie niemal głębsze umysły, cenił ś. p. ksiądz Damroth humor i znał się na poezyi śmiechu; sam też napisał kilka wierszy humorystycznych, wśród których bardzo dobry jest „Flisaka opis Wrocławia“, ale celuje przedewszystkiem „Wizyta doktorska“, osnuta na (możliwem zresztą) przypuszczeniu, jak lekarz Niemiec zapisał gorczycę, ale wymawiając to słowo „kocica“, wprowadził polskie kumoszki w fatalny błąd.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jaskinia Maszycka.

JASKINIE OJCOWSKIE.

Okolica Ojcowa nietylko słynie słusznie z piękności, ale jest niemniej ważną dla nauki, a mianowicie dla archeologii. W r. 1871 pierwszy Jan Zawisza zwrócił tu uwagę na przedhistoryczną kulturę w rozprawie: Ojcowska dolina i jej okolice (Biblioteka Warszawska T. IV. str. 54); odtąd zaś cały szereg uczonych polskich i niemieckich zajmował się tym przedmiotem. Akademia Umiejętności w Krakowie spełniła też dobrze swój obowiązek, objąwszy kierunek tych badań.

Mamy do czynienia z wielką osadą przedhistoryczną, zamieszkałą w licznych jaskiniach, położonych wzdłuż całego szeregu wąwozów Ojcowskich, zwłaszcza w wąwozie Iwanowickim, właściwym Ojcowskim i Jerzmanowickim. Drugi z nich, największy i najwspanialszy w całej okolicy, poczyna się na północnym zachodzie powyżej Pieskowej Skały, pomiędzy tą wsią a Sołoszową; stąd dąży w kierunku południowo-wschodnim, popod Grodzisko, na Ojców i Prądnik-Ojcowski, przerzyna się dalej pomiędzy Maszycami a Białym-Kościołem i poza Prądnikiem-Korzkiewskim i Swawolą dosięga granicy austryackiej; potem biegnie dalej w tym samym kierunku z biegiem rzeczki Prądnika aż do wsi Zielonek, gdzie się otwiera ku dolinie przywiślańskiej, a ciągle obfituje w jaskinie. Wąwóz ten zagłębia się stopniowo w pokłady wapieni białojurajskich i odsłania skaliste ich łona, które, poczynając od Pieskowej Skały, przybierają coraz to większe rozmiary, a na przestrzeni pomiędzy tą wsią a Ojcowem wzrastają i nadają okolicy tę uroczą malowniczość, która już od wieku zwabia w te strony licznych turystów i osoby przybywające na mieszkania letnie. Poniżej Ojcowa obnażenia skalne, nie tracąc na malowniczości, maleją powoli i rzedną, a zniżając się coraz bardziej i znikając stopniowo prawie zupełnie, kryją się na ostatek w okolicy Zielonek pod osadami opoki kredowej.

Najwięcej jaskiń i to największych, jest w samym Ojcowie: odznaczają się majestatyczna jaskinia Łokietkowa, czyli Grota Królewska, i naprzeciw niej „Ciemna“. Tu też schodzą się z wąwozem Ojcowskim największe jego odnogi boczne, tj. wąwozy Sąspowski z Jamkami, wąwóz Bramy Krakowskiej, Straszydła-Korytanie, Smardzowicki i kilka innych, w których nie brak także jaskiń i licznych i obszernych. — Z drugiej strony, posuwając się od jaskini Zielonkowskiej na północ, spotykamy na lewej stronie wąwozu najpierw jaskinię nazwaną „Zamieszkałą“ [1]), następnie Maszycką i jaskinie: W Ogrojcu Górna i w Ogrojcu Dolna. Po prawej zaś stronie mamy na gruntach wsi Swawoli skaliste strome urwiska, w których znajduje się niewielkie schronisko Swawolskie. W ślad za tem miejscem, na samej granicy gruntów biało-kościelskich, występuje druga grupa skał w uroczysku zwanem Bronówka, w którem jest podobne, lecz nieco większe schronisko Pod-Bronówką. Dalej, naprzeciw jaskini Zamieszkałej, powtarzają się znowu obnażenia skalne w postaci dwóch grup, które jednak jaskiń nie zawierają, aż nieco dalej, naprzeciw jaskiń Ogrojeckich poczyna się nader malowniczy wąwóz skalisty Stodoliska, w którym, w jednej ze skał, znajduje się naturalny tunel, tworzący rodzaj jaskini lub schroniska „W Stodoliskach“, a wyżej nad nim znajdują się dwie niewielkie jaskinie: Nad-Tunelem i Sypialnia.

Jaskinia Maszycka znajduje się na szczycie wspaniałej i wyniosłej góry, znajdującej się w Lesie-Maszyckim, na wysokości około 150 metrów ponad poziomem doliny Prądnika. Zanim można było przystąpić do zbadania jej, należało uprzątnąć k i l k a d z i e s i ą t fur głazów z wnętrza jaskini i z zewnątrz niej. Długość jaskini wynosi około 30 metrów, największa szerokość 9 metrów dzieli się na trzy części, z których dwie pierwsze stanowią komory, a trzecia jest kanałem wydłużonym i stosunkowo ciasnym. Namulisko jaskini dzieliło się wyraźnie na dwie warstwy. W warstwie spodniej znaleziono kilkaset przedmiotów: wyroby krzemienne, kamienne, kościane i z rogu renifera. Znaleziono kości zwierzęce mamuta, nosorożca włochatego, konia kopalnego, innego jeszcze gatunku konia bardzo małej rasy, h y e n y plamistej w odmianie jaskiniowej, niedźwiedzia jaskiniowego, niedźwiedzia szarego, żubra kopalnego, wołu kopalnego, łosia i jelenia kopalnych, r e n i f e r a, suhaka, lisa kopalnego, wiewiórki i zająca kopalnego, a z kości ptasich przedhistorycznego koguta. Jestto fauna okresu dyluwialnego. Znaleziono wreszcie kości kilkunastu ludzi, i to jednego tylko mężczyzny młodego około 20 lat, a zresztą kości dzieci od jednego roku do 13 lat wieku.

W górnej warstwie znaleziono również kilkaset wyrobów ręki ludzkiej, a wśród nich także już wy-

[1]) W samym jej otworze stoi mieszkalna chałupa, a w głębi mieści się dobytek gospodarski i klepisko do młócenia zboża.

roby ceramiczne. Różnica między tą warstwą a tamtą wielka. Ślady zwierząt kopalnych bardzo nieliczne, a wśród nich są już kości psa i kota. Dużo natomiast śladów fauny stosunkowo całkiem nowej, gatunków nawet dzisiejszych: wół, łoś, jeleń, daniel, sarna, koza skalna, koza swojska, owca, borsuk, dzik, świnia, lis pospolity, wilk, wiewiórka, kot domowy, żbik, bóbr, zając, kogut, orzeł, kaczka. Ze stanu kości, tudzież z tego, że pomiędzy niemi znajdowało się wiele kawałków osmolonych, przepalonych i zwęglonych, wnosić należy, że są to pozostałości ówczesnego jadła, w znaczeniu dzisiejszych odpadków kuchennych. Ludzkie kości tej warstwy należały do trzech dorosłych i jednego dziecka; były one wszystkie łupane, podobnież jak zwierzęce.

Dokładne badania, przeprowadzone przez Akademię Umiejętności, wykazują, że ślady pobytu człowieka w jaskini Maszyckiej należą do dwóch rozmaitych i odległych od siebie epok przedhistorycznych. Zabytki warstwy spodniej należą do najstarszych, jakie wogóle znaleziono; wyroby tych ludzi służyły tylko do łowów i do obrony (groty i rohatyny), oraz do najpierwotniejszych wogóle potrzeb życia (szydła i łopatki). Zabytki warstwy wyższej świadczą o nierównie większym rozwoju; najrozmaitsze narzędzia kamienne gładzone, młoty z rogu jeleniego, mnóstwo naczyń glinianych, a wreszcie już nawet przedmioty do ozdób służące (wisiorki kościane i gliniane).

W okolicy Ojcowa największą jest jaskinia Wierzchowska, położona o małą milkę na zachód od Ojcowa, w wąwozie, który niema długości więcej, jak dwa kilometry, a jest w nim jaskiń kilka, jedna niemal obok drugiej. Główna jaskinia Wierzchowska ma przeszło 600 m. długości, łamie się w rozmaitych kierunkach, to się zniża, to biegnie w górę, jakby na piętra. Znaleziono tam kilkaset rozmaitych przedmiotów, jako to: krzemiennych nożów i skrobaczy, szlifowanych kamiennych młotków, siekierek, klinów, osełek, kamieni żarnowych, z kościanych wyrobów szydła i mnóstwo kości nacinanych i łupanych. Jaskinie te były zamieszkiwane przez szereg wieków i mamy tu widocznie do czynienia z wielką osadą jaskiniową.

KINEMATOGRAF I ŻYWE FOTOGRAFIE.

Często trwają bardzo ważne zjawiska tak krótko, że wzrok nietylko nie zdoła uchwycić ich szczegółów, ale częstokroć ich całokształtu; dość przytoczyć jako przykład błyskawice, spadanie meteorytów, zmiany położenia skrzydeł w locie ptaków i wiele innych. W takich przypadkach oddaje fotografia momentalna badaczowi nieocenione usługi. Fotografia momentalna — jedna z najpiękniejszych zdobyczy fotograficznych ostatnich czasów — utrwala jeden moment jakiegokolwiek zjawiska i pozwala go następnie badać we wszystkich szczegółach. Toteż, od chwili znalezienia sposobu fotografowania obrazów chwilowych, badacze zaczęli posługiwać się fotografią w celach naukowych i — przyznać należy — zawdzięczają jej już niejedno bardzo ważne odkrycie. I tak np. już w r. 1874 posługiwał się astronom Janssen fotografią momentalną przy obserwowaniu przejścia planety Venus przez tarczę słoneczną, Maybridge z St. Francisco badał w tej samej epoce ruchy ptaków i zwierząt. Szczególnie ważnem jest jednak przy rozmaitych badaniach naukowych, fotografowanie danego zjawiska w rozmaitych pozach i otrzymanie możliwie największej ilości fotografij, które — wzięte razem — są wiernem powtórzeniem całego przebiegu zjawiska i równocześnie odtwarzają każdą jego chwilę, we wszystkich szczegółach. Próby otrzymywania takiej większej ilości fotografij były robione od samego początku istnienia fotografij momentalnych; i tak udało się np. Maybridg'owi otrzymywać 40 fotografij rozmaitych przedmiotów będących w ruchu (ptaków fruwających, biegnących zwierząt itd.) zapomocą 40-tu fotograficznych aparatów, których blendy otwierał i zamykał w bardzo krótkich odstępach czasu (ułamkach sekundy) prąd elektryczny. Z biegiem czasu — głównie dzięki badaniom Anschütz'a, Semeny'ego, braci Lumière, jenerała Sebert'a i wielu innych — udoskonalała się fotografia momentalna coraz bardziej: czas potrzebny do eksponowania był coraz krótszym, ilość fotografij otrzymywanych z jednego przedmiotu i w danej jednostce czasu powiększała się coraz bardziej. Obecnie można otrzymać z jakiegokolwiek zjawiska, trwającego około 1 minuty, prawie 1000 negatywów (bezpośrednich fotografij, na których jasne miejsca fotografowanego przedmiotu są ciemnemi, a ciemne

miejsca jasnemi, i z których otrzymuje się dopiero t. zw. pozytywy) zapomocą aparatu zwanego kinematografem, który równocześnie służy do otrzymywania tak zwanych żywych fotografij.

Otrzymanie pojedynczych fotografij rozmaitych momentów danego zjawiska — choćby ilość tych fotografij była jaknajwiększa — nie jest jednak rzeczywistem jego odtworzeniem; fotografie takie przedstawiają wprawdzie pojedyncze chwile poruszającego się przedmiotu, ale nie przedstawiają one jego ruchu, którego odtworzenie w umyśle jest bądźcobądź trudne i zawsze niedokładne. Ważnem było wskutek tego znalezienie sposobu, który pozwoliłby otrzymać z pojedynczych fotografij napowrót jednę całość, będącą powtórzeniem fotografowanego zjawiska. Należało znaleźć sposób, który pozwoliłby otrzymane fotografie przesuwać przed wzrokiem z tą samą szybkością i w tem samem następstwie, w jakich były otrzymane, gdyż wtedy utworzyłyby one całość, która byłaby wierną kopią samego zjawiska.

Wiadomo powszechnie, że każdy przedmiot sprawia tylko wtedy wyraźne wrażenie wzrokowe, jeżeli działa na wzrok przez pewien — wprawdzie bardzo krótki — przeciąg czasu, a cały szereg zjawisk następujących po sobie wywołuje tylko wtedy szereg wyraźnych obrazów, odpowiadających pojedynczym zjawiskom, jeżeli każde z nich trwa dostatecznie długo i jeżeli przerwy pomiędzy niemi są również dostatecznie długie. Jeżeli czas trwania pojedynczego obrazu jest za krótki, to otrzymane wrażenie wzrokowe jest albo niewyraźne albo żadne. Przykładów takich szybkich ruchów możnaby przytoczyć mnóstwo, dość np. wymienić koło obracające się bardzo prędko; szprychy takich kół zmieniają swe położenie tak szybko, że albo wywołują bardzo słabe wrażenie wzrokowe i przedstawiają się wtedy jako jednolita przeświecająca płyta, albo też wcale nie wywołują wrażeń wzrokowych i są wtedy zupełnie niewidoczne. Jeżeli szereg rozmaitych zjawisk znajduje się w ruchu tak szybkim, że każde pojedyncze zjawisko nie jest wstanie wywołać wyraźnego wrażenia, to utworzą one jedno wrażenie, które jest sumą wszystkich pojedynczych. Jako przykład można tu przytoczyć płytę pomalowaną kolorami tęczy, idącymi pasami od środka płyty do jej obwodu i obracającą się bardzo szybko. Każda barwa wywołuje wtedy zbyt krótkie, a więc i nietrwałe wrażenie; wrażenie wywołane przez jednę barwę zaciera wrażenie wywołane przez poprzednią, jedno wrażenie uzupełnia drugie i rezultatem wszystkich pojedynczych barw będzie barwa biała.



Mikołaj Rzeszowski.

Jeżeli pojedyncze obrazy trwają dość długo, aby wywoływać w oku wyraźne wrażenia, przerwa pomiędzy nimi jest jednak tak krótka, że nie jest wstanie wywołać wrażenia wzrokowego, to każdy otrzymany obraz wydaje się nam dalszym ciągiem poprzedzającego, tylko zmienionym, a więc ruchomym; cały szereg obrazów wydaje się nam wtedy jednym zmieniającym się, czyli poruszającym się obrazem.

Wszelkie usiłowania otrzymania poruszających się obrazów były wskutek tego zwrócone w kierunku znalezienia przyrządu, który pozwalałby przesuwać szereg obrazów z taką szybkością, aby każdy z nich trwał dostatecznie długo do wywołania wyraźnego wrażenia wzrokowego, przerwy zaś pomiędzy pojedynczymi obrazami były zbyt krótkie do wywoływania takich wrażeń. Każdy obraz zastępowałby w takim razie poprzedzający niepostrzeżenie, wydawałby się zatem tym samym, lecz zmienionym, poruszanym. Aby wywołać takie złudzenie wzrokowe, powinna być szybkość przesuwanych fotografij bardzo znaczna. Najlepsze złudzenie otrzymuje się, jeżeli każdy pojedynczy obraz działa na wzrok conajmniej w przeciągu $^{2}/_{45}$ sekundy, a czas przesuwania fotografii wynosi najwyżej połowę tego

czasu, t. j. $^1/_{45}$ sekundy; w przeciągu 1 sekundy powinno się zatem przesunąć przed wzrokiem 15 fotografij, czyli w przeciągu 1 minuty 900.

Próby otrzymywania takich obrazów poruszających się były wykonywane już oddawna, nie były one jednak pomyślne, gdyż nie czyniły one zadość jednemu z najważniejszych warunków, mianowicie czas przesuwania obrazu i czas jego trwania były jednakowe; wskutek tego posiadały ruchome obrazy jasne i ciemne smugi, odpowiadające jasnym i ciemnym miejscom fotografij. Dopiero w ostatnich czasach usunęli ten brak bracia Lumière i Demeny. Drugą ważną przeszkodą odtwarzania całych scen był brak sposobu otrzymywania większej ilości negatywów; do ostatnich czasów można ich było zaledwie otrzymywać kilkadziesiąt na wstęgach cztero- do pięciometrowych; wskutek tego można było odtwarzać tylko sceny krótkotrwałe i do tego takie, których koniec był taki sam, jak początek. Obecnie otrzymuje się wstęgi





Pomniki Ligęzów u Bernardynów w Rzeszowie.

o długości dochodzącej 35 metrów; na nich otrzymuje się negatywy zapomocą kinematografów Lumièr'a lub Demeny'ego, a następnie na wstęgach o takiej samej długości otrzymuje się pozytywy.

Zanim przystąpimy do opisu kinematografów braci Lumière i Demeny'ego, opiszemy w kilku słowach pierwsze próby otrzymywania żywych fotografij.

Początkowo przenoszono szereg negatywów otrzymywanych na wstęgach 4—5 metrowych jako pozytywy na brzeg szklanych płyt o średnicy 0.5 metrów (techniczne względy nie pozwalały używać większych płyt). Płyty te, na których mogło się pomieścić najwyżej 40 do 50 fotografij, obracano następnie ze znaczną szybkością i otrzymywano w ten sposób krótkie powtarzające się sceny. Główną wadą tych żywych fotografij były — jak poprzednio wspomniano — jasne i ciemne smugi powstałe wskutek jednakowej szybkości, z jaką trwały i przesuwały się pojedyncze obrazy.

Reynand nie chcąc ograniczyć się na przedstawianiu krótkich, powtarzających się scen, używał obrazów rysowanych i malowanych ręcznie na bardzo długich wstęgach. W odtwarzaniu swych żywych obrazów posunął się on jednak znacznie naprzód, gdyż użył pierwszy kinematografu bardzo podobnego do kinematografu braci Lumière. Na wałku ruchomym była nawinięta wstęga z obrazami, przedstawiającymi jakąś scenę, np. balet, scenę komiczną i t. d. Wstęga ta posiadała oba

brzegi dziurkowane w ten sposób, że dwa otwory były zawsze umieszczone na tej samej wysokości i odpowiadały jednemu obrazowi. W otwory te wchodziły widełki poruszane zapomocą specyalnego mechanizmu, połączonego z korbą, pociągały wstęgę i odwijały ją z walca. Cały mechanizm zamknięty był w skrzynce, posiadającej w ścianach przeciwległych dwa okienka, jedno na wprost drugiego; jedno okienko, przed którem przesuwała się wstęga z obrazami, było zaopatrzone w objektyw, a przez drugie wpadało światło elektryczne, które rzucało przesuwające się, krótkotrwałe obrazy przez objektyw na duży ekran. Zapomocą tego przyrządu, przedstawiano rozmaite żywe obrazy na sztukach czarodziejskich w teatrze Chatelet w Paryżu. Nie były to zatem żywe fotografije w ścisłem znaczeniu i nie mogły mieć pretensyi do odtwarzania rzeczywistych scen z całą ich wiernością i z wszelkimi szczegółami, lecz była to raczej piękna zabawka, która bądźcobądź była znacznym krokiem naprzód w otrzymywaniu rzeczywistych żywych fotografij.

F. E. Polzeniusz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

RZESZÓW.

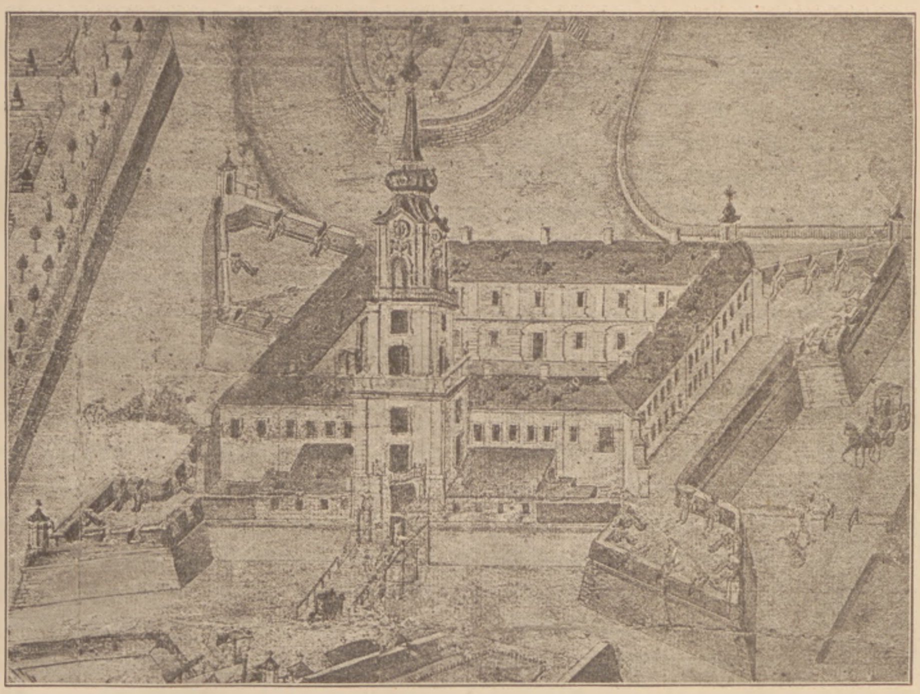
(Ciąg dalszy).

Pierwszym ze względu na wysoką swą wartość, jako dzieła sztuki, jest grobowiec dla dwu Rzeszowskich, ich żon i dzieci, wybudowany z kamienia pińczowskiego w czystym stylu renesansowym po r. 1574. W dwu górnych polach, żłobią się głębokie nysze półkolem górą zamknięte, w których mieszczą się wypukło rzeźbione w półfigurach postacie rycerzy z rodu Rzeszowskich. W polach dolnych klęczą rzędem drobne postacie trzech panien modlących się, z książkami u nóg i trzej młodzieńcy w rycerskich zbrojach z hełmami u stóp. Który z włoskich w Polsce o te czasy bawiący rzeźbiarz, robił ten pomnik, nie wiemy, ale to pewna, że był mistrzem nielada, w silnem zamarkowaniu typów, w delikatnem poczuciu wdzięku kobiecego, w oddaniu uczucia i religijnego skupienia w postaciach modlących się dziewic i młodzieńców.

Kościół i klasztor Bernardynów w Rzeszowie, fundacyi Mikołaja Ligęzy, starosty bieckiego, z r. 1624, z cudownym obrazem Najśw. Panny, koronowanym 1763 r., za miastem jest położony. Budowa kościoła wyniosła, w charakterze XVII. wieku, przez przybudowanie kaplic po bokach nawy, przybrała formę krzyża i nosi na przecięciu dachów sygnaturę. Przed kościołem placyk, ujęty murem ze sztachetami, malowniczo się przedstawia. Obok kościoła furta klasztorna poprzedzona obszerną kruchtą. Klasztorek mieści się w tyle kościoła od północy. Wnętrze kościoła ma typ bernardyński dla licznych barokowych ołtarzy, jest przestronym, sklepionym beczkowo. Owe boczne kaplice urastają w ramiona krzyża. W prezbiteryum są ważniejszemi postacie alabastrowe członków rodu Ligęzów z Bobrku, fundatorów Bernardynów rzeszowskich i dziedziców miasta przed Lubomirskimi. W nyszach wysoko w dwu rzędach pomieszczonych na ścianach, klęczy ośm postaci naturalnej wielkości, okrągło wyrzeźbionych z alabastru, dziś zżółkniałego i zmatowanego, w zbrojach rycerskich, a jedna w ubiorze biskupim. Głowy odkryte są staropolskie, z brodami lub bez nich, uzbrojenie odpowiednie epoce, u stóp leżą hełmy; u jednego nad głową tarcza herbowa z półkozicem. Włoską robotą nie są. Napisy kilkowierszowe objaśniają imiona i urzędy Ligęzów. W gmachach klasztornych popijarskich pomieszczone jest gimnazyum.

Zamek rzeszowski stoi na końcu miasta w pewnem od przedmieścia odosobnieniu i trzeba przyznać, że zachował cały swój pierwotny majestat pomimo zmienienia przeznaczenia swego. Początek miał mu dać wspomniany Mikołaj Spytek Ligęza i nazywano go Ligęzów, ale prawdopodobnie budowa dzisiejsza należy do Lubomirskich. Dziś już nie jest rezydencyą pańską, ale mieści urząd sądowy i więzienie kryminalne. Przybrał też ten charakter, jaki noszą gmachy rządowe, niema nic z ozdób dawnych, ale jest zawsze czysto wybielonym. Charakterystykę nadaje zamkowi otoczenie murami w systemie Vaubanowskim i głęboka, dziś sucha, porosła trawą, fosa z kontraskarpą. Jest to wszystko na wielkie rozmiary zbudowane z cegły z silnem górnem wałko-

wego okroju gzymsowaniem kamiennem, o profilu tymsamym jaki mają współczesne zamki w Wiśniczu i Łańcucie. Mury biegną w kwadrat i w węgłach mają tak zwane kawaliery, występujące ostrym kątem pirogowego swego założenia. Brakuje murom blanków, które na starym planie są oznaczone, gdyż miejsce placu broni poza murami zajmują ogrody dzisiejszych prezesów sądu i inspektorów. Zato kąty występujące kawalierów mają jeszcze dotąd wysmukłe strażniczki, w charakterze architektonicznym i świadczą rzeźbami, że każdy z takich bastyonów miał swego patrona. Wiemy, że najbliższy bastyon od strony miasta stał pod protekcyą św. Antoniego Padewskiego, a sąsiedni pod wezwaniem św. Hieronima. Na tarczach karteluszowych są wykute postacie tych świętych i napis: *Sub auspiciis S. Antonii de Padva* lub *S. Hieronimi.* Dwa inne kawaliery ogołocone dziś są ze strażnic, a mur, rozciągający się między nimi od północy, zabudowany komórkami szpetnemi. W zbliżeniu do głównego wejścia do pałacu, co zasiadł w pośrodku fortecznego placu,



Dawny widok Zamku rzeszowskiego.

fosa i mury są zniesione dla ułatwienia komunikacyi. Spodem wieży tak ozdobnej i wspaniałej na planie z r. 1764 ze swymi gankami, platformami i miedzianym szczytem, a dziś uproszczonej, wchodzi się przez sień sklepioną na dziedziniec pałacowy, zabudowany w kwadrat jednopiętrowymi budynkami. Podanie o zniesieniu drugiego piętra wobec widoku na dawnym planie nie utrzyma się. Schody dość monumentalne, szerokie, kamienne, wprowadzają do sieni, która była przed kaplicą pałacową, dziś zniesioną. Na dawnym planie widać jej kopułę. Stała pod wezwaniem Zdjęcia z krzyża, a hetman Jerzy Ignacy Lubomirski fundował przy niej w r. 1740 probostwo dla mieszkańców zamkowych. Zastępuje ją dla więźniów maleńka w tej stronie salka, użyta na kaplicę. Na dole i na piętrze biegną korytarze sklepione, oświecone rzędem okien od strony dziedzińca wewnętrznego. Wnętrza pokoi, przerobione na kancelarye, nie zachowały nic z dawnej pańskiej rezydencyi, żadne z okien nie zachowało swego pierwotnego obramienia.

Ostatnią pamiątkę przeszłości niedawnej, dotykającej epoki świetności domu książąt Lubomirskich, jest pałacyk zwany dziś teatrem, w stylu rokokowym, położony przy drodze z zamku do miasta. Zagadkowem jest zawsze spotykanie się w miejscu ubocznem miasteczka z murami ogrodów zapuszczonych z resztami bram, świadczących o jakiemś życiu co niegdyś w tej stronie Rzeszowa biło. Oto biust kamienny stojący przy drodze na filarze murowanym, oto rzędy lip w jakimś dziedzińczyku, zresztą sam budynek rokokowy, pałacyk

o dachach mansardowych dziwnego planu, a dziwniejszych ozdobach w imitacyi antyku, jakieś okna owalne rokokowe z głowami filozofów, portal nad którym świeci w medalionie wielka litera *L*, wszystko to tworzyłoby zagadkę, gdyby nie plan stary Rzeszowa, który nam ją rozwiązuje łatwo. Ten ciekawy budyneczek stoi niewiele zmieniony w tym kształcie jako pałacyk letni Lubomirskich, położony wśród francuskiego ogrodu, dziś nieistniejącego. Jest to wspomnienie czasów Saskich, miejsce rozkosznych zabaw, co przypominało naszym panom życie spędzane w stolicach zagranicznych...

(Ciąg dalszy nastąpi).

NOWE PRZYGODY TWARDOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

List starego mistrza, datowany z Miedzianego Wirchu był bardzo gderliwy? nieprawdaż? Twardowski pisał go widocznie w złym humorze; prawdopodobnie spotkała go jakaś przygoda. Wysłaliśmy tedy reportera, żeby zbadał rzecz i przekonał się, co zaszło. Domysł okazał się słuszny: oto stary czarodziej cichaczem wyrwał się z Tatr i pojechał na... wiec ludowy, skąd wrócił jakoś zasępiony. Redakcya zwróciła się doń z prośbą o sprawozdanie z tego wiecu, ale odpisał krótko i węzłowato tak:



Klasztor Bernardynów w Rzeszowie.

„Dajcie mi na teraz święty spokój. Na własne oczy widziałem, że w ruchu wiecowym biorą udział tylko tacy, którzy myślą o krześle poselskiem; kto niema nic do zyskania, stoi zupełnie na uboczu. Wobec tego nie mogę zabrać w tych sprawach głosu, aż po wyborach, bobyście mnie podejrzywali, że ja także kandyduję. Myślcie sobie o mnie, co chcecie, ale wiedźcież, żem z innej mąki“.

Pozostaje tedy na razie sekretem, co go na wiecu ukłóło. Chodzą słuchy, że się wybiera do Cieszyna; na razie siedzi w Krakowie, chodzi po ulicach, wiodąc „niepróżnujące próżnowanie“ i... zrzędzi.

Onegdaj miał awanturę z jakąś mieszczką, utrzymującą gdzieś w zaułku kawiarnię; o co? o to, że nazwała swój zakład patryotycznie: Kawiarnia „pod Białym Orłem“ i wywiesiła nade drzwiami koślawą podobiznę narodowego ptaka... Tego samego dnia drugi wybryk: porwał za kołnierz jakiegoś młokosa i gromkim głosem żądał od niego, żeby się wylegitymował, jakiem prawem używa herbu państwa polskiego na swoich... spinkach do mankietów? Ludzie patrzeli na niego, jak na waryata. On zaś w coraz większym gniewie pobiegł do jubilera i zaczął wyrzucać z wystawki różne drobiazgi garderobiane, oznaczone herbami Polski



Karoca książęca (z dawnego widoku Rzeszowa).

i Litwy, wołając, że to są niedozwolone drwinki z upadku państwa polskiego! Z początku mniemano, że się ma do czynienia z kimś pozbawionym zdrowych zmysłów, a policyant chciał posłać po „budę“; — gdy w tem w tłumie znalazł się ktoś zmyślniejszy i dokładniej rzecz wyłuszczył, wołając: Szpieg, zdrajca, wysłannik Moskwy!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dla braku miejsca, opuszczamy w tym numerze rubrykę „Z nowych książek“.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Dr. Feliks Koneczny. — Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie.